



ŚW. S. KOSTKI
CZERWONA

PIOTRKOWSKA 271

W PODWÓRKU takim jak to jeszcze kilkanaście lat temu można było znaleźć sprzęty będące śladami codziennego życia w dziewiętnastowiecznej Łodzi. Niestety ciągle znikają. Tak było w przypadku wskaźnika poziomu wody, który nie wadził przecież nikomu. Opowiadał on historię o tym, jak to w fabrycznym mieście Łodzi z wodą bywało.

Przez czyjeś to „widzimi się”
Albo dla głupiej fantazji
Ileż to łódzkich zabytków
Poddano eutanazji?
Witold Smętkiewicz

Epitafium

O czym pomyślał wyglądający przez okno mieszkaniec kamienicy, kiedy na jego podwórko wszedł ja, nieznajoma kobieta, spojrzałam na ścianę, krzyknęłam: „O Boże! Nie!”, a potem wyszłam? Pewnie nie przypuszczał, że właśnie znalazły wyraz żal i wściekłość po kolejnej podwórkowej stracie. Zniknął drewniany wskaźnik wody. Na pamiątkę tego wskaźnika i dla uczczenia pamięci wszystkich wskaźników, studni, sztukaterii i innych elementów małej architektury, które z dnia na dzień znikają bez śladu, zabierając ze sobą tajemnice życia codziennego mieszkańców dawnej Łodzi, opowiem w tym podwórku historię o wodzie – tej czystej i brudnej. Napiszę o studniach, które

gdzieniegdzie jeszcze możemy zobaczyć, a które być może za parę miesięcy znikną z podwórka na zawsze.

O wodzie, studniach i łódzkich kąpielach

W 1924 r. rozpoczęto budowę kanalizacji w Łodzi. Pomimo tego w 1927 r. „Kurier Łódzki” tak charakteryzował miasto:

Nie znajdziesz tu ani jednego wodotrysku, fontanny. Za to kominy fabryczne tryskają dzień i noc dymem smrodliwym, pyłem i kurzawą węglową. Głębokie jak wąwozy rynsztoki zieją symfonią zapachów amoniakalnych. O pewnych porach zmieniają się w potoki, lśniąco i opalizujące wszystkimi kolorami tęczy. Płyną nimi barwniki z apretur i wykańczalni. Przez ulice ciągnie powoli tabor beczkowsów. Jedna, dwie, trzy beczki wysmarowane smołą. Coś z nich kapie. Asenizacja.

W czasach, w których nikt jeszcze w Łodzi o kanalizacji nawet nie myślał, wszelkie nieczystości wylewano po prostu z okien na ulicę. Co bogatsi właściciele kamienic opłacali tzw. **ostrzegacza**, który w razie zagrożenia przechodniów na chodniku, krzyczał: „Uwaga, się idzie! Się idzie! Me gajt!”. Żeby można było wygodniej wylać brudną wodę z miski, dolna część okiennej kraty była niekiedy szersza od górnej. Z czasem marne rozwiązania sanitarne w budynkach przy Piotrkowskiej zaczęły się polepszać. Oficyny podwórkowe były jednakże w trudniejszej sytuacji niż front. Najlepiej wyposażone były mieszkania na parterze, a im wyżej, tym standard był niższy. Mieszkania na dole oprócz bliskości studni posiadały też tę zaletę, że miały ulokowane pod podłogą piwniczki przeznaczone do przechowywania ziemniaków i innych produktów żywnościowych. Z biegiem czasu w kamienicach zaczęły powstawać lokalne instalacje wodociągowe i kanalizacyjne, a w mieszkaniach frontowych nawet łazienki i toalety. Niestety dla większości mieszkańców posiadanie chociażby

ubikacji pozostawało w sferze marzeń. To nie znaczyło, że musieli zapomnieć o kąpeli. Z myślą o nich powstała usługa tzw. wędrownych łaźni. Ulicami jeździły beczkowsy z wrzątkiem i baliami. Wystarczyło zawołać z okna i już za chwilę można się było wyszorować od stóp do głów we własnym domu. Pierwsze publiczne łaźnie miejskie powstały w mieście przed I wojną światową.

Choć kamienice frontowe doczekały się w mieszkaniach bieżącej wody¹, to lokatorzy oficyn wciąż zmuszeni byli korzystać z **podwórkowych studni**. W najwyższych częściach kamienic znajdowały się zbiorniki na wodę pitną. Posiadały one specjalne, usytuowane przy oficynach wskaźniki poziomu ich napełnienia. Zasilały one w wodę mieszkania kamienicy frontowej i żeliwne podwórkowe zdroje, z których wody do wiader dla rodziny i zwierząt nabierali mieszkańcy oficyn. Woda w zbiornikach na stychach uzupełniana była ze studni, w późniejszym okresie przy pomocy elektrycznej pompy. Zdarzało się, że odpowiedzialny za to zadanie człowiek zasypiał, podczas gdy woda w zbiorniku przekroczyła poziom maksymalnego napełnienia. Wówczas z samej góry oficyny nadmiar wylewał się rurką wyprowadzającą na podwórze. Taki wypadek w lecie – podwórkowy wodospad – był istną frajdą dla dzieci.

¹ Wodociągi miejskie zaczęto budować w 1934 r. po wybudowaniu łódzkiej kanalizacji. Do pierwszych kamienic śródmiejskich woda popłynęła w 1943 r. W 1950 roku co dziesiąty Łódzianin miał w mieszkaniu łazienkę, a co trzeci mógł korzystać z bieżącej wody.





Podwórkowa studnia. Źródło: własność Jacka Strzałkowskiego

Nie spotkamy już przy Piotrkowskiej żurawi ani studni z pompą², ale w niektórych podwórzach pozostały wbudowane w ściany żeliwne obudowy ujęć wody oraz – rzadziej – ich ażurowe podstawy na wiadro. Dawne łódzkie studnie fotografował Andrzej Pukaczewski, który wraz z poetą Janem Huszczą wydał album *Panna Studzianna*. Oto fragmenty wierszy, które je opisują:

Więc studnie skromne, zdobne studnie,
nad nimi kwietnie, lipce, grudnie...
Trzydzieste się zaczęły lata,
ty wciąż po wodę z wiadrem lataj!
Nim z kranu złapiesz strumień wody,
masz dalej cierpieć niewygody...
(...)

² W niektórych podwórkach np. Piotrkowska 53 czy 106 zachowały się zabytkowe mechanizmy studni w postaci żeliwnych kołowych napędów do czerpania wody.

A ta nisza w ścianie
z lwim u góry pyskiem
wodę trzyma w kranie,
odkręć, ciurkną błyski.

To architektura
ciesząca skromnością,
nie wymysł więc gbura
ten wdzięk z przydatnością!

Na łódzkich podwórkach można było również natknąć się na studnie, z których nabierano i wyciągano wodę przy pomocy koła. Tak pisze o nich w wierszu wspomniany wyżej Jan Huszcza:

Te koła łatwo puścić w ruch,
kiedy jest dwoje albo dwóch.
Opowiadają,
że zgodnie tak postępowały
pewne rączki.
Potem dodają:
na ich palcach się okazały ślubne obrączki.

Woda od zawsze oznaczała początek życia. To wody poszukiwali ludzie, by rozbić obóz, założyć miasto, to dzięki wodzie Łódź stała się miastem przemysłu włókienniczego. To woda skupia wokół siebie ludzi – w dużych grupach i małych podwórkowych społecznościach, podczas codziennych czynności i rozmów. Jak śpiewała grupa SDM:

Spotkamy się kiedyś u studni
I będziemy tacy młodzi,
Nasze żony będą piękne,
Nam wódka nie będzie szkodzić.

Zanim na ul. Piotrkowskiej pojawiła się kanalizacja

Wcześniej, bo niedługo po powstaniu Nowego Miasta w 1821 r., pomyślano o zazielenieniu Piotrkowskiej. Posadzono topole, które w towarzystwie drewnianych domków sukienników nadały ulicy malowniczy wygląd. W połowie stulecia topole zastąpiono kasztanowcami i akacjami. Ulicę wybrukowano, ale nie naprawiano, więc jej stan techniczny pozostawiał wiele do życzenia. Dodatkowo wykopano **rowy zbierające wodę**. Mieszkańcy wypasali w nich bydło i ścinały trawę, co wzbudzało spory, gdyż według burmistrza trawa należała do miasta. Dało to początek „nocnej partyzantce”, czyli wypuszczaniu świń i krów na popas po zmierzchu. Do rowów wlewano też nieczystości. Miasto próbowało rozwiązać ten problem, zatrudniając Kozaków do egzekwowania przepisów porządkowych. Ci bywali jednak nieskuteczni, ponieważ lubili mocno zakrapianą zabawę i zdarzało się, że z powodu długów w szynkach uciekali z miasta. Nad rowami budowano drewniane, prowadzące do posesji mostki, które z czasem ze względu na zły stan techniczny stawały się niebezpieczne. W późniejszym okresie rowy przy ulicy zastąpione zostały przez **brukowane rynsztoki**.

W podwórzach zalegały sterty śmieci, panował nieporządek, brud i brak higieny. Do tego dodajmy, że prawie wszyscy hodowali zwierzęta. Szerzące się w mieście epidemie zmusiły władze do zaostrzenia wymogów sanitarnych. Zamożniejsi mieszkańcy mieli brukować podwórka. Przepisy nakazywały też budowę skrzyń na nieczystości i likwidację kloak położonych blisko studni i domów. Niepokorni gospodarze musieli uiszczać codzienną karę pieniężną, a „na egzekucję” wysyłano do nich Kozaków, których trzeba było wyżywić (wraz z ich końmi). Tak widok ulicy opisywał Władysław Reymont w *Ziemi obiecanej*:

(...) Trotuary zmieniały się przed każdym prawie domem: raz były szerokie z kamienia, to biegły wąskim paskiem betonu, albo szło się wprost po drobnutkim, zabłoconym bruku, który kłuł przez podeszwy.



Rynsztoki przy ulicy Piotrkowskiej. Źródło: prywatne archiwum Włodzimierza Adamiaka



Beczkwóz. Źródło: zbiory WiMBP w Łodzi

W czasach wielkich fabryk, które budowano w podwórkach, przemysł bardzo zanieczyszczał wodę. W 1874 r. wprowadzono do farbiarni barwniki mineralne, co jeszcze pogorszyło sprawę. Z podwórek do rynsztoków wypływały rozmaite zanieczyszczenia, w tym różnokolorowa woda z farbiarni. To stąd pochodzi nazwa biegnącej nieopodal ulicy Czerwonej. Dlatego pod koniec XIX w. władze starały się lokować przemysł nie przy ulicy Piotrkowskiej, ale na peryferiach miasta.

„Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się niby wstęgi brudnożółte, czerwone i niebieskie, z niektórych domów i fabryk. (...) Przepływ był tak wielki i obfity, że nie mogąc się pomieścić w płytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki (...) aż pod wydeptane progi niezliczonych sklepików” – czytamy w *Ziemi obiecanej*.

Przeszło półmilionowa Łódź nie miała **kanalizacji** do czasów I wojny światowej, stanowiąc w tym względzie unikat w Europie. Projekt sieci kanalizacyjnej opracował w 1919 r. inżynier William Lindley. Jednak uchwałę o budowie kanalizacji miasto podjęło dopiero w 1924 r. Kierownikiem budowy został Stefan Skrzywan, a prace rozpoczęto w 1925 r. By poznać łódzkie wodne sekrety, trzeba cofnąć się do początku Piotrkowskiej, gdzie znajduje się t zw. Dętka – zbiornik na wodę z czerwonej cegły w postaci 142-metrowego korytarza, który mieści się pod Placem Wolności. Pomieszczenia są tak zaprojektowane, że możemy przejść dookoła placu pod ziemią. Zbiornik służył do czyszczenia jednej z czterech odnóg kanału wychodzących z placu. W Muzeum Kanału „Dętka” znajdują się ciekawe zdjęcia z dwudziestolecia międzywojennego przedstawiające etapy budowy kanalizacji oraz realizujących ją budowniczych.



Wilk i zając, malowidło na ścianie kamienicy